Przyjaciel Ludu.

ROK ÓSMY. **No. 1.** Leszno, *dnia 3. Lipca* 1841.



Pręgierz przed ratuszem w Poznaniu.

Kat.

Kat był w największém poniżeniu u nas; okazuje to przysłowie XVI. wieku: *„Kat ostatni urząd.“* (1)

Dubrawski przytacza (2), że Wrocławianinowi w jedném miasteczku polskiém skradziono 500 czerwonych złotych. Schwytano złodzieja. Sędzia i radni miejscy nastawali, aby ów Wrocławianin, jako oskarzyciel, prawa dopełnił, i własnemi rękoma na szubienicy złodzieja obwiesił, a jeżeliby niechciał, będzie obwieszon od złodzieja, jeśli tego złodziéj dokonać zechce. Wyrzekał się Wrocławianin i straty, musiał jednak dopełnić przepisu, po dokonaniu którego, ani Kaźimierza Jagiellończyka, króla polskiego, ani Władysława, czeskiego, dyplomata, uwolnić go od plamy, jaką się okrył, niemogły, i biedak żadnych godności miejskich, ni senatorstwa otrzymać nie mógł: w ustroniu ziomkom swym obmierzły umarł.

Miejsce najsławniejsze nauką katów w Polsce, było Biecz w Podgórzu, i tam najłatwiéj w tém rzemieśle i najprędzéj wyzwalać się mogli, gdyż nigdzie więcéj, jak w téj górzystéj części kraju nie bywało eksekucyj na rozlicznych rozbójnikach.

Bywały zdarzenia także, że kata, przeznaczonego do wykonania wyroku, zabijano, ztąd wprowadzono zwyczaj, że dawano dwóch ludzi w zakład bezpieczeństwa oprawcy, i nawet otaczano go strażą, aż do miejsca, gdzie miał stracić winowajcę. (3)

U nas zły kat i oprawca był karany.

O ile ze starożytnéj pieśni polskiéj ludu widzieć możemy, kat, mając dokonać wyroku na zbrodniczéj dziewce, jeżeli ta na jego żądanie oddała mu rękę, ślub z katem uwalniał ją od kary zasłużonéj. Taki przykład mamy w pieśni krakowskiéj, gdy dziewka własne utopiła dziecię, i wyrokiem sądu na śmierć skazaną została.

Wziął ci ją młody kacik za rączkę,
Wyprowadził na łączkę.
„Chceszże ty Maryś moją bydź?
Mógłbym ja cię od téj męki wyzwolić?“
„„Oj! nie była moja matka królową,
I ja też nie myślę bydź katową.“ “
Wziął ci ją stary kat pod boczki,
Wtrącił ją we Wisłoczek głęboczki.

Był zwyczaj, jak mówi T. Czacki, przez niektóre magistraty miejskie tolerowany, że jeżeli jaki hultaj bezżenny, wyprowadzony na karę śmierci, poruszył serce któréj z patrzących dziewczyn, i ta mu swój rańtuch rzuciła na głowę: przebaczano, i zaraz do ślubu tę parę wiedziono.

Zwyczaj ten w żywéj pamięci został u Górali ruskich, Huculów, w Karpatach od Bukowiny. — Między r. 1828. a 1832. dziewka jedna pokochawszy opryszka, rzuciła nań swój rańtuch, ale to go nieuwolniło od szubienicy.

To więc, co pieśń mówi i zwyczaj dawny, zasługuje na uwagę, bo mają z sobą wielką łączność.

Był zwyczaj u nas, że jeżeli kat winowajcę ciął nieszkodliwie (a co się zdarzało), ten mógł uciec z miejsca kary, i ukryć się kilka miesięcy: unikał powtórzenia kary. Znałem osobiście olbrzymiego składu ciała szlachcica, co za zbrodnie wedle prawa był na śmierć skazany. Kat miał mu ściąć głowę: szlachcic niepozwalając sobie ani rąk krępować, ani oczu zasłonić, sam przykląkł. Właśnie przyświecało słońce, po cieniu więc dojrzał już zamach katowskiego miecza; porywa się w téj chwili, i odbiera głęboką w plecy ranę. Ale nadzieja ocalenia życia dodaje mu siły; ucieka do poblizkiego kościoła, i w nim bezpieczną uchronę znajduje. Chodził późniéj ten sam szlachcic o żebranym chlebie; słyszałem, jak prosząc, zawsze zaczynał temi słowy: „Wspomóżcie biednego szlachcica, jestem ten, co mnie kat ciął a nie zabił.“

Ze skazanych na śmierć, gdy kto oświadczył chęć zostania katem, i oprawcą drugich, uwolniono go od kary. — Tak w Galicyi po roku 1794., w napadzie Denyski, jeden ze złapanych, nazwiskiem Górski, ofiarował się za oprawcę dla swych towarzyszów, i uwolniony żył jeszcze w roku 1834.

Ubiór kata była kurta z pąsowego sukna, i płaszcz takiż: ale niezawsze używali tego stroju. Jan Ostroróg, za czasów Kaźimierza Jagiellończyka, narzekał, że kat ubiorem nie różnił się wcale: „Nierządnice,“ mówi, „niczem się nie różnią od żon prawych, ani kat od innych ludzi. Kat z mieczem, więc woźny z kijem, niech zawsze chodzą.“

Rozmaite były kary za rozmaite przestępstwa, których kat dopełniał.

Rozszarpywanie końmi dostrzegamy w XIV. wieku. Ziemowit, starszy książę całego Mazowsza, zmarły 1381. roku, obwinionego młodzieńca o związki z żoną swoją, żywcem rozszarpać kazał końmi. (4)

Klonowicz w *Worku Judasza* pisze także, jak złapano w Węgrzech, w miasteczku Pezinku, zbrodniarza, co ludzi Turkom przedawał: z rozkazu króla przywiązanego do dwóch wozów, a konie gnano w różne strony, rozdarto jak śledzia. Wspomina przy tém, że bez wozów można końmi rozszarpać. Ale już w tę dobę takiéj kary nie używano w Polsce.

(1) Nazwa sama poszła w pogardliwe znaczenie, zkąd przysłowia u Ryśińskiego: *„Sumienie gorsze kata.“* — *„Niech go kaci porwą.“* — *„Ki kat* (miasto djabła).“ *„Czy go tu kaci nanieśli.“* Kat! wykrzyknikiem używany, n. p: Kat myśli o pieniądzach, albo i o złocie (statut Jana Dzwonowskiego, z czasów Zygmunta III.) *„Kat ci go wie, mój panie.“* (Gęsia wojna tegoż.)

(2) Hist. Boem., lib. XXXI., p. 260.

(3) O lit. i pols. prawach, T. Czacki, T. 2., str. 99.

(4) A. Naruszewicz T. VII.

Dawniejszą od téj była kara rozsiekania, któréj używał Bolesław Śmiały, bez katów.

Roku 1237. Żydzi w Krakowie za zabicie dziewki i wysączenie jéj krwi, gdy się na torturach do zbrodni przyznali, szarpani na rynku kleszczami, wywiezieni pod szubienicę, po odcięciu rąk, żywi nożem przebici, poćwiertowani, a ćwierci na słupach przybito. (5)

Za Zygmunta Augusta córka matkę zabiła; kleszczami więc ją szarpano, zaszyto w worze, i utopiono w Wiśle. (6)

Ten sam rodzaj śmierci zachowała nam pieśń ludu mazowieckiego. Stary starosta przekonany o niewiarze żony Kaśi, wyrzekł wyrok. Zaraz przeto:

„Kasię zamknęli w komorze,
Potém zawiązali w worze,
I zrzucili z okna wysokiego,
Do Dunaju głębokiego.“

Pieśni ludu, opisujące karę winnych dziewcząt, mówią o dzwonieniu w dzwony na zebranie sądów. Przestępna miała rąbek na głowie, bo już wianka nie wolno nosić, stawała przybrana w czerwieni, w barwie takiéj, jako i kat. (7)

Kiedy u nas turtury w użyciu były, kat z oprawcami swymi rozporządzał niemi, i stósownie do rozkazu sędziego odnawiał męczarnie. Dla kata była to czynność gorsza od ścięcia, lub powieszenia winowajcy. Najwięcéj też miał zatrudnienia z czarownicami, z których wyciskano prawdę torturami. Miały tortury właściwe wyrażenie u nas, to jest: „wziąść na męki, lub na pytki.“

Gdy skazany na śmierć odczytany miał wyrok, sąd zamawiał kata. Na kilka dni przed karą, delikwent miał dostarczanem wszystko, czego zażądał, odbierał odwiedziny, bo więzienie jego stało otworem dla tych, co go widzieć chcieli. W dzień tracenia miejsce kaźni usypywano piaskiem przed ratuszem miejskim. Sprowadzano wyspowiadanego zbrodniarza; młodsi miejscy, urzędnicy, żołnierze, otaczali wkoło; kapłan wchodził we środek, urzędnik sądowy, a za nim kat. Po ścięciu ciało kładziono w trumnę, pomiędzy kolana głowę, i odwożono lub na cmentarz, lub do sklepu pod jaki kościół. Lud chwytał piasek ze krwią chciwie, szczególniéj szynkarze, którzy uważali tę zaprawę do trunków, za sprowadzającą niesłychany pokup.

Przy ratuszach miejskich zwykle u nas tracono, i do tego stały kamienne pręgierze, i leżały wielkie kamienie. We Lwowie, do niedawna, w rynku przed ratuszem, stał taki kamień. Przed poznańskim ratuszem stoi dotąd pręgierz kamienny, postawiony roku 1535. Pod nim stawiono na widok publiczny złoczyńców, na śmierć haniebną skazanych, a potém ryto na nim rok eksekucyi.

(5) Rękopism 1526.
(6) Pandora Obodzińskiego.
(7) Pieśni Białochrobatów 1836, T. I.

Łamanie kołem, kat dopełniał własną ręką: w wieszaniu winowajcy mógł się wyręczyć swoim oprawcą; trup wisiał zwykle dopóty, dopóki go krucy i wrony nie zjadły. Lud nasz kradł trupy takie do czarów, dla dostania mózgu, tłustości i kości świeżych.

Skazany jeżeli uciec zdołał do kościoła, jeżeli co bardzo ważnego obiecał uczynić dla miasta, jeżeli Żyd chciał chrzest przyjąć, darowywano niekiedy karę. Mój ojciec w swojéj młodości był obecnym (były to początki panowania Stanisława Augusta), jak na stós z łuczywa i słomy wprowadzono Żyda. Jakaś znakomita pani namawiała go, że żyć będzie, jeżeli chrzest przyjmie; już mu wtedy kat palił rękę, kiedy Izraelita spokojnie odrzekł: „Wać nie Ewa, ja nie Adam; — a Wać (do kata) rób, co ci należy.“ Jakoż zaraz przykryto go słomą i drzazgami, i w krótce zgorzał w płomieniach.

Oskarzyciel na winnego, swoim kosztem winien kata sprowadzić; jeżeli tego nie dopełnił, wypuszczono często skazanego, ażeby sąd kosztów na kata nie wydawał.

Szlachcica karano tylko mieczem, najczęściéj o nocnéj porze, i to w sklepie, lub na dziedzińcu zamkniętym. Nazajutrz rozgłaszano, że umarł, i rodzina sprawiała mu pogrzeb z nabożeństwem i przy dzwonach.

W Kurniku, w poznańskiém, żył w roku 1834 kat stary, mający 80 lat wieku. Ten dowodził stale przyczyny, dla czego tyle złych ludzi, bo srogiéj kary i mąk (tortur) niema. Mnóstwo przechował okropnych torturowych narzędzi.

„Byli ludzie w moich ręku,“ mówił, „tak „twardzi, że za pierwszą męką niechcieli się „przyznać, ale powoli za drugą i trzecią wy„cisnałem prawdę. Jak tu nieżałować, że nie „palą czarownic! a teraz ludziom szkody czynią; „a bywało, jak wolnym ogniem począłem skwa„rzyć czarownicę, na własne widziałem oczy, „jak djabeł brał duszę, a tu zaraz grad z burzą „się zrywał.“ (8)

K. W. Wojcicki.

Getsemani,

albo:

Śmierć Julii.

(Elegia z Lamartina.)

Tam był od piersi matki, człowiekiem boleści,
Serce moje, miasto krwi, łez przetacza wały,
Albo raczéj, Bóg tak chciał, i łzy skamieniały:
By mi wydrzeć ten powab, co się w płaczu mieści;
Gorycz miodem, a smutek roskoszą mię poi,
Obca siła ku każdéj wiedzie mię żałobie;
Nie mylnie, choć nie widzę, co przy drodze stoi,
Znajdę się w pustce — lub grobie!

(8) Z ustnego podania Tytusa hr. Działyńskiego.

Piękność pól, któréj słońce dodaje podniety,
Zacieniste doliny, tonące w uroku,
Omijam, śmiech na ustach, a łzę mając w oku,
I mówię: co tu szczęścia; nic dla mnie, niestety!
Lecz ucho me dosłyszy wnet, zkąd jęk pochodzi,
Gdzie płaczą, za ojczyznę obieram tę stronę;
Ziemia, co prochy i kamienie rodzi,
Moje łoże — ulubione.

Chceszli wiedzieć, dla czego? i śmiész o to pytać?
Chociażbym zdołał wzruszyć wirem téj otchłanie,
Ustom z wymowy, samo pozostało łkanie;
Lecz rozedrzéj to serce, jeśli chcesz w niém czytać!
Śmierć, w każdéj jego fibrze, nóż swój zatopiła;
Wszystkie ich uderzenia, to męki konania!
Tam tylko pełno śmierci, pełno narzekania!
Z całéj méj duszy — mogiła!

Toż w ziemi, gdzie się Bogu zrodzić podobało,
Będąc, nie pytałem o miejsca uświęcone,
Gdzie żebrak rzucał palmy pod nogi strudzone,
Gdzie na głos Boga słowo poznać się dawało;
Kędy Hosanna hymny tryumfu głosiła,
Gdzie ręka, którą świętych niewiast łzy skrapiały,
Gdy święte czoło z ognia potu obcierały,
Dziateczki małe pieściła.

Zaprowadź mię, mój ojcze, do płaczu siedliska,
Do ogrodu, gdzie człowiek niosący zbawienie,
Opuszczony od ojca i ludzi, strumienie
Krwi i wody przelewał, które śmierć wyciska;
Zostaw mię tu samego; jam jest uczuć chciwy,
Z jakiém się człowiek w śmierci mocuje cierpieniem,
Kto rozpaczał, ten patrzy na zgon z uwielbieniem;
Tutaj mój ółtarz właściwy!

Pod stopami oliwnéj góry jest ukrycie,
W przepaści, w którą brzemie Syonu runęło:
Cieniom nocy oddane, słońce go minęło:
Tam Cedron wyschły chrzęści, w szkieletném korycie;
Tam kości swoje grzebie plemie Abramowe.
Wszystek trawnik przygniotło ruiny nasienie,
Tylko od starych pniaków rozrosłe korzenie,
Porą kamienie grobowe.

Tam w smętną, ciemną grotę, skała się wygina;
W niéj to człowiek boleści, śmierci zakosztował,
Gdy budząc trzykroć przyjaźń, którą sen piastował,
Rzekł: czuwajcie, bo bliską jest straszna godzina!
Tam dotąd, drżąca wiarą, warga pokutnika
Zbiera krople krwi zaschłéj na bruku pieczary,
I słychać, jak skroplony pot świętéj ofiary,
Po bokach skały — ociéka.

Czoło dłońmi objąwszy, siadłem na kamieniu,
Szukając boskich myśli, na tém miejscu, wątku,
A chcąc zgłębić, łez moich, z końca do początku,
Potok, co się tak zarył w mojém przeznaczeniu,
Podniósłszy z ziemi troski, na barkach ważyłem;
Liczę życie za życiem, za zgonami zgony...
Wtém sen nagle pochwycił duszę moją w szpony:
Co za sen! Boże! marzyłem!

Zostało nie daleko, pod skrzydłami matki,
Dziecie me, skarby moje, córka ma jedyna!
Wiek miała, w którym czoło kształcić się zaczyna,
Lecz w którym niebu nawet najmilsze są dziatki!
Obraz jéj spostrzeżony, utkwił się już w oku,
Bo wieczny ślad wrażały jéj promienne lice:
By zazdroszcząc, nie zwrócić z podziwienia kroku,
Żadni nie przeszli rodzice.

Ona mi była szczątkiem, po przeciągłéj burzy
Jedynym z tylu kwiecia, miłości zakładem,
Tułaczego ogniska, specyału składem,
Łezką przy pożegnaniu: całuskiem, z podróży;
Ona była mych okien słonecznym promieniem,
Ptaszyną świegotliwą, co z ust mych pijała,
Harmonią, co tchnięciem ze śpiącym igrała,
I pieszczotą — za ocknieniem.

Więcéj była: méj matki, niestety! obrazem;
Ona się przez jéj oczy powracać zdawała;
Przez nią się dla mnie przeszłość, w przyszłość odradzała,
Tak szczęście me zmieniło się tylko wyrazem; —
Głos jéj lat kilkunastu szczęścia był mi echem; —
Kroki jéj tchnęły powab do powietrza w domu;
Na jéj spojrzenie oczy zwilgłe pokryjomu —
Wnet oschły, za jéj uśmiechem.

Czoło jéj, cienił sam ślad, mego niepokoju,
Zawsze jéj piękny błękit odbijał me oko,
I odwilżał na troski, które czuł głęboko,
Jak się rysują cienie, w czystym wody zdroju.
Lecz wszystko, co z jéj serca wyszło, słodkiem było,
Na ustach jéj, surowa zmarszczka nie postała. —
Chyba, że w matki dłonie, rączęta składała,
I modlić się przychodziło.

Marzyłem, że w te strony z sobą sprowadzoną —
Trzymałem na kolanie mojem — ciężar błogi!
Jedną ręką wspierając szyję, drugą nogi,
Głowę miałem ku czołu jéj, z lekka skłonioną;
Ona czując swe czoło na łonie bezpieczném,
Wstrząsała złotym cieniem jedwabnych warkoczy;
W pośród ust, błyszczał białych zębów rząd uroczy,
Wieńczony uśmiechem wiecznym!

Jakby mą chciała przejrzeć i wyczerpać duszę,
Ciągle na mnie swe czułe zwracała wejrzenia,
W jéj przejmującym wzroku, jak słodkie katusze!
Bo w mojém, Bóg wie, ile błyszczało płomienia!
Gdym chciał usta całować, ta nadstawia lica;
Gdy lica, ona usta, a ja w tym kłopocie
Czas oddany wachaniu, traciłem w pieszczocie;
Tak mię krzywdziła psotnica!

I mówiłem do Pana mego w upojeniu:
Boże! póki te oczy błyszczeć będą przy mnie,
Serce ci nie przestanie, składać dzięki w hymnie;
Nie dosyćże dla pniaka, że odżył w korzeniu?
Tak! dary mnie idące niech posiędzie ona!
Nadzieje jéj rozkwitłe będą dla mnie w zysku;
Ty zgotuj dla niéj łoże, otwórz do uścisku
Czułe małżonka ramiona.



Getsemane.

Tak roskoszą — naprzemian, modlitwą opiły,
Ani oczy, ni serce tego spostrzegało,
Że to czoło na mojém ramieniu zciężało,
Że te nogi kamieniem, ręce mi lodziły;
Julio! ah Julio! co tobie? Ja ociec...
Ty bledniesz, ty się mieńsz, potniejesz! za wiele
Tych żartów, uśmiechnij się, przemów, mój aniele!
Otwórz oczy — chcę z nich dociec...

Lecz śiność zaciągnęła ta lica różane,
Śmierć zamartwiła usta w przymilenia chwili,
Pierś szybkiém tchnieniem ducha zachwycić się śili,
Tak się śili, trzepiocąc, skrzydło zmordowane:
Tam podsłuchiwał pilnie te życia ostatki
U jéj serca; a kiedy skonała nareście,
Zastygło we mnie serce, jako płód w niewieście
Martwy — ziębi łono matki!

Więcéj, jak życie niosąc na skrzepłém ramieniu,
Jak człowiek, który stąpa po ciosie śmiertelnym,
Wstałem: i do ołtarza idąc krokiem pewnym,
Rozciągnąłem me dziecie na chłodnym kamieniu,
I usta przykleiwszy na zamglone oczy,
Czułem, jak z czoła ciepło umykać zaczyna,
Jak z miejsca w gniezdzie, które opuszcza ptaszyna,
Gdy jutrzenki promień zoczy.

Tak w téj wiecznéj godzinie — jednéj — prze-
cierpiałem,
Coby się trwogi w wiekach, łez w morzu zmieściło:
Boleść zajęła miejsce, kędy serce było,
I rzekłem: o mój Boże! ja ją tylko miałem...
W téj były wszystkie moje miłości stopione,
Ona mi była w miejscu nie jednéj mogiły;
I wisiała jak owoc, który oszczędziły
Wiatru zapędy szalone!

Zorzą chmurnych dni moich była nieskalaną,
Jedyném rozbitego ogniwem łańcucha:
By miléj brzmiały ściany domowe dla ucha
Słodko-dźwięczne Julii nadano jéj miano;
Ona była tętniącym po méj głowie dzwonkiem,
Oczu mych, godzin moich, ciągłém pocieszeniem.—
Ona była mym światem! szelestem, ruszeniem,
Wieczorem, nocą i dzionkiem!

Byłto promień od szczęścia ciągnący ołtarzy.—
Jeden z dni mych najczystszych na tém czole
wryty,
Zwierciadło, w którém obraz kochałem odbity,
Wszystkie te dary, Boże! w jednéj zlane twarzy;
Brzemie, które mi serce matki powierzyło,
Oczy memi błyszczące, dusza mnie wydarta!
Głos głosem moim drżący, krew krwią moją parta,
Niebo — co żywe patrzyło!

Dobrze więc! niezbłagana śmierci; gdy nie może
Być sytym głód twój; zabierz łup tobie potrzebny!
Ja sam, ja sam kładę go na twój wóz pogrzebny —
Lecz jeślim go wychylił, strzaskaj kielich, Boże!
Córko ma, dziecie, tchnienie me, otóż i ona!
Otóż ona, uciąłem tylko włosów sploty,
Te ogniwa wczorajszéj ostatniéj pieszczoty!
I zachowałem — u łona...

Łkanie mię przydusiło, ocknąłem się — ciecze
Krwawym potem przesiąkły kamień na około:
Zimna ręka, powodząc, razi lodem czoło;
Okropny dreszcz, zamroził dwie łzy na powiece;
Pędzę szybciéj, niż orzeł potrafi dokonać —
Krzykiem tłumionych uczuć pierś wydaje tyle!
Miłość ostatnie dla mnie przytrzymała chwile;
Czekała na mnie — by skonać...

Teraz wszystko zamarło w moim pustym domu!
Oczy spłakane, ciągle przed mojemi stają —
Ręce ciągle roztwarte; lecz próżnią ściskają!
Idę, lecz gdzie? odrzekam, ale nie wiem, komu?
Dnie — nocy, jednym dla mnie powleczone cieniem:
Chęć modlitwy w mém łonie z nadzieją zniszczała,
Lecz to Bóg cię przygniata! duszo — bądź wytrwała!
Całuj rękę — pod cierpieniem!...

Kraków, 25. Lutego 1841. *F. N. E......i.*

Kurs literatury sławiańskiéj A. Mickiewicza.

Pospieszam z dalszém sprawozdaniem o prelekcyach naszego Adama:

„Już za Zygmunta pierwszego dziwili się uczeni ościennych narodów, wielkiéj liczbie ludzi światłych w Polsce. Kopernik i Witelio Ciołek stoją na czele uczonych, którzy pracowali nad nowemi systematami, nad wykształceniem nowych myśli, przez siebie rzuconych. Dziwna, że jak naraz i tak świetnie zakwitnęła Polska tylu uczonymi, tak w następnym wieku, zaledwie z kronik dowiedzieć się można o ich nazwisku i pracach; zdaje się, jak gdyby potomkowie umysłowo zniedołężnieli, myśli ojców swoich nie tylko rozwijać, ale nawet i pojąć nie mogli. Prace Witeliona tylko i system Kopernika ostały się w życiu, bo nadto były przeważne, żeby nie miały, choć w ogólném uśpieniu, budzić i ciągnąć do siebie umysły ruchawsze. Drogim i jedynym zabytkiem literatury polskiéj tego czasu są pieśni nabożne, znane pod nazwiskiem *Kantyczek*, które chociaż kształcone i odmieniane zawsze w ustach ludu, przechowały w sobie wierny obraz prostéj i szczeréj pobożności tego ludu, który tak piękne pieśni tworzył z siebie, i niemi do Boga się modlił. Wiek Zygmunta Augusta daleko obfitszy w liczbę osób piszących, jest epoką ruchu i zwad religijnych, które, zwolna zarażając Niemcy całe, z wpływem Niemców do Polski się wlały. Sam król Zygmunt August, lubiący nauki, podchlebiany przez sekretarzy, nie był obojętnym ruchowi swego wieku. Najznaczniejsi protestanci tego wieku, Luter, Kalwin, Erazm i Osiander, starali się wszelkimi sposobami, to dedykując dzieła swoje królowi, to podchlebiając dumie jego, jako uczonemu, na swoję stronę go przeciągnąć. Trudno było królowi otwarcie wystąpić za protestantyzmem, ale jego pobłażanie, jego przychylność dla cudzoziemców, dopomagały do reformy w kraju. Młodzież polska, podróżująca po obcych krajach, wracała do Polski, przepełniona nienawiścią dla Rzymu, chciwa odznaczenia się gorliwością w reformie. Tu było szerokie pole otwarte do pisania mów, protestacyi i użycia całéj siły téj wymowy, którą szlachta polska zawsze tak gorąco miłowała; — tysiące pism przeciwko kościołowi katolickiemu zaczęło się szerzyć po Polsce. Szlachta możniejsza prześladowała księży, księża żenili się i nauczali każden według przekonania i dobréj woli; nieład, złość i nienawiść jednych partyj przeciwko drugim, doszły do najwyższego stopnia, kiedy kardynał Hozyusz, Polak, z familii krakowskiéj, w Wilnie osiadłéj, pochodzący, cierpiąc raz jako ksiądz i Katolik nad rozerwaniem kościoła, drugi raz jako Polak, nad nieładem w Polsce, starał się wszelkiemi siłami, jakimkolwiek bądź sposobem stawić tamę zdaniom protestanckim, które z szybkością potoku Polskę zalewały. On przewodnicząc consilium w Trydencie, poruszał wszystkich książąt przytomnych do silnego współdziałania w sprawie kościoła; ale nie znalazł odpowiedniego ducha swoim życzeniom; — widocznie czasy wojen krzyżowych minęły, obojętność zupełna dla rzeczy religijnych nastąpiła; wtenczas Hozyusz niezmordowany w swéj pracy i czujności nad Polską, nieznajdując u władz świeckich wsparcia, do działania na świat cały, wprowadził przynajmniéj do Polski świeżo założony zakon Jezuitów. Zakon ten, częścią z politycznych, częścią z religijnych pobudek utworzony, o ile działał w duchu polityki, nie najlepiéj się zasłużył Polsce, o ile odpowiadał swemu celowi jako zakon duchowny, wielkie przysługi oddał kościołowi katolickiemu. Nie wytrzymały rozliczne sekty niezmordowanéj pogoni Jezuitów, w krótce upadły całkiem, a Jezuici, trudniący się wyłącznie kształceniem młodzieży szlacheckiéj, wpajali w nią nienawiść, i sposobili do silnéj walki przeciwko reformom. W tym czasie najwięcéj się odznaczał Mikołaj Rej z Nagłowic, usilną dążnością zapoznania Polaków z wszystkiemi religiami. Pieśni i pisma protestanckie przerabiał, i pisał językiem pospolitym dla łatwiejszego zrozumienia niższéj szlachcie, która tylko najprostsze i najjaśniejsze rzeczy lubiła czytać; książki lepszych autorów łacińskich i greckich, dotąd tak chciwie czytywane, poszły w zapomnienie, szlachta lubiąca dużo i o wszystkiem rozprawiać, te tylko książki czytywała, z których się mogła z większą łatwością o wszystkiem dowiedzieć.

W Czechach dom habsburgski, pracujący wszelkiemi siłami nad wytępieniem zasad protestanckich, wspiera i kształci szczególniéj prawodawstwo.

Pieśni czeskie podczas kłótni religijnych, z największą zapamiętałością prowadzonych, prawie zupełnie zaginęły; najdłużéj się przechowała pieśń bojowa Hussytów, lecz i ta późniéj z upadkiem téj sekty zupełnie zaginęła. Jest niejakie podobieństwo między pieśniami pobożnemi Czechów i Polaków a Włochów, tak co do składu, jak i co do dźwięku, lubo trudno naznaczyć dokładnie ich formę. Nowalis, uczony niemiecki, starał się późniéj naśladować w swoim języku pieśni te polskie i czeskie, i lubo

dość szczęśliwie mu się udało niektóre wyjątki przełożyć, całość jednakowoż nie odpowiadała nigdy oryginałowi.

Rusini, za staraniem usilnem i niezmiennem książąt, tracili coraz więcéj swoją narodowość, swoje wspomnienia i pieśni; Iwan groźny, syn Wasila okrutnego, zagładza, przez pobór chłopów do wojska, charakter narodowy do reszty. Okrucieństwa tego księcia wydobyły ostatni jęk staréj wolnéj Rusi z ust księży i bojarów uciśnionych, których mowy tak są płynne i dobitne, że prawie równoważą krasomówstwo polskie i czeskie, w tym czasie bardzo rozwinione. Baron Herbersztein, który w tym czasie podróżując po Rossyi, napisał dzieło o okrutnych rządach książąt i nikczemności ludu, kończy temi słowy: „Niepojmuję, czy tych tyranów nikczemność narodu stworzyła, czy téż ci tyrani naród tak znikczemnili.‟ “ (Po każdéj lekcyi liczne oklaski następują.)

Paryż, dnia 29. Maja 1841.

Do Jana Omiecińskiego.

Mój Jasiu, gdybym był fatalistą, wierzyłbym, iż mojém przeznaczeniem jest pisać nie co innego, tylko same powieści. Wyjeżdżając do Włoch, postanowiłem bazgrać widzenia, marzenia, podróże i tym podobne rzeczy, ale powieść za mną goni, jak gdybym jéj moje pisarstwo zapisał, jak dawni ludzie zapisywali djabłowi duszę. Na przekorę temu natręctwu, wypadki, które mi się nasunęły i rozsunęły przedemną, nieułożę w porządną powieść, ale tak je opowiem, jak one do mnie przychodziły, a nawet niedorzucę żadnéj barwy imaginacyi.

Wiesz, że nie bardzo wesół ruszałem w podróż, puszczałem się na włóczęgę, a rzucałem ludzi, którzy mi się stali rodziną; jestto nie artychocka, ale moja serdeczna ukraińska gadka, że wolę ze swoimi być w piekle ziemskiém, jak puszczać się do ziemskiego raju między obcych. Markotny siadłem do powozu, a jeszcze bardziéj zwiększyli moją markotność towarzysze podróży; jeden z nich był kupczyk, Zyd czy przekrzta, tego niewiem, ale bezustannie prawiący o spekulacyach i bankructwach; drugi, młody człowiek, uczeń prawa, rzucił prawo, a wdziawszy żołnierski mondur, bieżał do Algieru, po marszałkowską buławę przynajmniéj, jeśli nie po cesarską koronę; u obydwóch języki targały się w gębach, jak nici na kołowrotku kręconym piękną ręką prządki; gradem słowa spadły na moje uszy; zdawało się, że głowa mi podziurawiała od tego gradu — stokroć przeklętszego, jak prawdziwy; ja to byłem tą pośrednią istotą, tym trzeciakiem, przez którego dwóch ludzi, niechcących wprost do siebie mówić, rozmawiają z sobą. Szczęściem obydwa rzucili mnie w St. Etienne. Na ich miejsce dostałem starą pannę i starszego jeszcze jéj ojca, szlachcica, margrabiego, zagorzałego legitymistę.

Wręcz na wstępie oświadczył mi, że kocha Polaków, że Mikołaja nieuważa za prawego króla Polski. Ale ma za złe tym, co się bili pod rozkazem pana Bonapartego. I Ludwik Filip może być królem dla Francuzów, ale dla niego nie jest niczem innym, jak księciem orleańskim. Na tych argumentach obracał całą rozmowę, z wielkim smakiem i dowcipem, kiedy powóz wywrócił się na górze, zwanéj *la Republique.*

W miesiącu Kwietniu góra ta była okryta śniegiem, i tak tam było zimno, jak w Styczniu; w około niéj było ciepło; ta dziwna chimera natury trwa od niepamiętnych czasów; las ogromny okrywa kraj téj republiki, i ma być napełniony zwierzem dzikim i rozbójnikami; myśmy jednak niewidzieli ani jednych, ani drugich. Margrabia tylko dowodził, że to zimno, ten śnieg, nasz wywrót, nawet wszystko to z przyczyny, że to miejsce nazywa się republiką, nikt tu ani przeczył, ani potakiwał; spokojnie bez kłótni siedliśmy do powozu i ruszyliśmy daléj.

Z rana 9. Kwietnia wyjechaliśmy do miasteczka Annonay, sławnego z mnogości i dobroci wyrobni papieru. Na papierze tego miasta drukują wszystkie nasze ramoty. Zdjąłem kapelusz, i witałem Annonaj, jak sławny powroźnik warszawski Gole czy Stole, już nie pamiętam, witał zawsze wszystkie pola, pokryte bujną konopią. Ale pomyślałem sobie, gdybym powrócił nad brzegi Kadenki, wspomniałbym o papierze z Annonay, ale zakazałbym wwozu tego produktu do mojéj chaty; mając co innego do roboty, niepsułbym żółci Autorowi Kalendarzyka emigracyjnego, i niewydobywałbym na jaw jego umiejętności heraldycznéj, którą dowodzi, że nie mogę być Kozakiem ukraińskim, ponieważ moje nazwisko wydrukowanem jest w Herbarzu szlacheckim. Ale zostawmy na stronie tę racyę fizykę: Kaśka niema bótów, — a wróćmy do Annonay.

Zajechaliśmy przed hotel, którego powierzchowność dość mi się podobała: zewnątrz mur siwy, jak poszpakowaciała głowa niedzisiejszego człowieka, wewnątrz okopcony dymem także niedzisiejszym; ale cóż to za widowiska sprzeczne stanęły mi przed oczy!

Drogą przed domem żandarmy wiedli sześciu więźniów, okutych w kajdany. Na twarzach więźniów pasowała się dzikość z rozpaczą, ale jeszcze nie odbiła oddzielnego piętna; widno, że tylko co ich od wolności oderwali, że tylko co się rozstali z zbrodnią. — U drzwi hotelu stał człowiek wąsaty, już siwy, ze szramem na twarzy, ze wstążką legii honorowéj u surduta; z wesołą i rubaszną postawą witał margrabiego i wysadzał z powozu postarzałą dziewicę. Choć mieliśmy tam jeść śniadanie, ani gospodarz, ani gospodyni, ani żaden sługa niewybiegł przeciw

nam, bo wąsaty człowiek byłto przyjaciel margrabiego, który za jedną drogą przyszedł go powitać, i wyprawić swojego siostrzeńca do Marseille.

Na pierwszém piętrze był wielki rozruch. Gospodyni domu i wszyscy słudzy nieśli ratunek omdlonéj zakonnicy; nie mogłem się dowiedzieć, co to wszystko znaczyło, chociaż miałem szczerą, niezmyśloną ciekawość; koniec końcem, żeśmy niejedli śniadania w Annonay, a pojechaliśmy daléj. Dostałem na towarzysza młodego siostrzeńca owego wąsatego męszczyzny, którego margrabia polecił mojéj znajomości. Byłem z tego mocno rad, gdyż spodziewałem się, że mój towarzysz musi być świadomym wszystkich wypadków hotelu.

Znajomość między nami zawiązała się bardzo prędko; młody człowiek był drukarzem i wierszopisem; napisał kilka próbek, naśladujących perskie poemata, chociaż, jak sam mi powiedział, ani słowa po persku nie rozumiał, ale w Marseille w College miał przyjaciela, prawdziwego Persa, czy Araba, tego nie jest pewnym, ale pewnym jest, że nie Francuza. — Teraz jechał do Marseille, żeby zostać albo krytykiem dzisiejszej literatury, albo wyuczyć się wschodnich języków i być orientalistą.

Na moje zapytanie o hotelu, odpowiedział: to straszne, dziwne zdarzenie! i zaraz zaskakiwał w prawo i lewo; gadał albo o sobie, i swoich nadziejach, albo o swoim wuju i o towarzystwie w Annonay.

Musiałem wysłuchać, że jego wuj za czasów cesarstwa był kapitanem w dziesiątym półku huzarów; że odbywszy wojny włoskie, pruskie, austryackie i moskiewskie, w 1814. wrócił do Annonay, z krzyżem na piersiach, ale bez grosza w kieszeni; w 1815. poszedł pod Waterloo, i ztamtąd wywiózł szram od szabli huzara pruskiego. Byłby może z głodu, albo z rozpaczy umarł, gdyby nie szczęśliwy traf był go zapoznał z margrabią i z innymi siedmią szlachty, mieszkającymi w okolicy Annonay; oni go pokochali jako odważnego żołnierza.

Niezadowolnieni z panowania Ludwika XVIII. niechcieli jechać do Paryża, ale utworzyli sobie rodzaj towarzystwa pod nazwiskiem: *Chevalerie de la table ronde d'Annonay*. Zeby niepuścić w niepamięć rycerskiego swojego pochodzenia, bezustannie między sobą się spierali, i wyzywali na pojedynki. Wąsaty wujaszek był zawsze sekundantem, i tak umiał kończyć te spory, że huku i brzęku było wiele, honor szwanku, a krew rozlewu nigdy nie ponosiły; przez to stał się nieodbicie potrzebnym, i tak to trwa aż do dzisiejszéj chwili.

W nadgrodę mojéj cierpliwości, kiedym już wysłuchał naśladownictwa wszystkich poezyj perskich, arabskich i sandskrytskich, tak mi opowiadał o hotelu:

Ta zakonnica chora, coś pan widział, jest siostra Rozalia, córka gospodyni hotelu. Imię Rozalia nie jest własnem, ale przybranem; dawniéj ją zwano Laura; byłato najpiękniejsza dziewica nietylko w Annonay, ale i w Lyonie i w Marseille nie było kobiety, coby w zawody mogła z nią iść o piękność. Płeć biała, jak lilia u podnoża Taurysu, u któréj alabastrowa bielizna przygorzała trochę tchem słonecznego życia, rumieniec mdły, niepewny a luby, jak pierwotne zwoje armeńskiéj róży; oko czarne i błyszczące jak gazelli, i brew i włosy czarne jak pióra kruka, co nosił słowa miłości od Leili do Medzuna; smukła i wiotka jak palma, i jak palma zielona włosy do słońca, tak ona do świata wyciągała ramiona. Szkoda, żeś jéj twarzy, jéj kibici niewidział, ona jeszcze i dziś piękna.

W tysiąc ośmset trzydziestym roku miała siedmnaście lat, młoda, niewinna dziecina jeszcze, a już serce miała przepełnione miłością; kochać i kochać chciała. — Pokochała młodzieńca z naszego miasta: zwał się on Robert; sierota ubogi, ale dumny, jakby pochodził od Napoleona, jakby posiadał wszystkie skarby Rotszylda.

Rodzice Laury zabronili Robertowi wstępu do swojego domu, i noga jego ani razu tam niepostała, nieszukał nawet widzieć młodéj kochanki; przyjaciela prosił, aby powiedział jéj: bądź zdrowa! i że miłość swoją ku niéj do grobu i za grob zaniesie.

Potém opuścił Annonay; słyszano tylko, że w dniach lipcowych walczył w ulicach Paryża, i ztamtąd zaciągnął się do strzelców afrykańskich w Algierze. Do Annonay ani słówka nie napisał i przez nikogo nic nikomu niekazał powiedzieć. — Laura zawsze kochała Roberta; mówią, że w sercu, co kochać umie, miłość bez nadziei w upór i fanatyzm się zmienia, i Laury serce takiém się stało: odrzucała rady rodziców, ale ani prośby, ani wymówki niesłyszane z jéj ust; obojętną była dla wszystkiéj młodzieży, ale żadnemu ani niechęci, ani gniewu nieokazywała. O! taki stan serca jawnie mówi, że miłość tam goreje, i że jéj zatlić nie podobna.

Później przyszła wieść smutna, że młody Robert, już wachmistrz, znany za najwaleczniejszego w półku, uderzył swojego oficera, a lękając się sromotnéj kaźni, opuścił szeregi wojska i uszedł do nieprzyjaciela.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)